NATURA WILKA WYCIĄGA Z LASU,

MONODRAMAT

WIERSZEM

(Z DODANIEM GARSTKI NOWYCH POEZJI)

WŁADYSŁAWA SYROKOMLI.

WILNO.
NAKŁADEM KSIĘGARNI P. F. RUBENA RAFAŁOWICZA.
1860.

Wᵘ Józefowi Surewiczowi

Nestorze sceny okryty chwałą,
Przyjm na pamiątkę tę książkę małą,
Chciałem w niej skreślić moc powołania
„—Natura wilka z lasu wygania."
Ty znasz najlepiej co sztuka niesie
Błogich rozkoszy, przykrych boleści

Ale nim książkę schowasz do szafy
Mojej Wandziuni wykasuj sztrafy.

Wł. Syrokomla

NATURA WILKA WYCIĄGA Z LASU,

NATURA WILKA WYCIĄGA Z LASU,

MONODRAMAT

WIERSZEM

(Z DODANIEM GARSTKI NOWYCH POEZJI)

WŁADYSŁAWA SYROKOMLI.

WILNO.
NAKŁADEM KSIĘGARNI P. F. RUBENA RAFAŁOWICZA.

1860.

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno 11 Grudnia 185? roku.

Censor **Paweł Kukolnik**

CZCIONKAMI A. MARCINOWSKIEGO.

WSTĘP.

Do moich piosnek.

Idź dobrym ludziom do ręki,
Zbiorku sierocych dum mały!
Myśli, westchnienia, piosenki,
Co już po świecie latały.
I wy dawniejszych dum świadki,
Które trzymałem w ukryciu,
Idźcie do jednéj gromadki,
Nanowo wskrzesłe ku życiu!
Jedne jak liście w jesieni,
Co zżółknąć przyszła im pora,
Na drugich jeszcze się mieni
Zielona barwa od wczora;
Na jednych rosa łzy błyszczy,

Na drugich zaschłéj krwi znamię...
Nim zamróz listki poniszczy,
Nim wiatr gałązki połamie,
Splotę te kwiatki żywota,
By nierozpierzchły się marnie...
Może się znajdzie istota,
Co je do piersi przygarnie.

NATURA WILKA WYCIĄGA Z LASU.

MONODRAMAT.

OSOBY:

ROŚCISŁAW — *długoletni aktor.*

GŁOS DZIECKA (*za sceną*).

Rzecz dzieje się w lesie.

NATURA WILKA WYCIĄGA Z LASU.

ŁAS—W GŁĘBI WIDAĆ STRZELECKĄ CHATĘ — Z POZA GAŁĘZI DRZEW PRZEGLĄDA ZDALEKA MIASTO.

ROŚCISŁAW, (*ze strzelbą wbiega prędko i ukazując ręką na miasto*).

Ha! już mię niezobaczysz miasto ukochane!
Tutaj, w lesie, z naturą i Bogiem zostanę,
Dość być służalcem chwały i złotego cielca...
Ot tę małą lepiankę najmuję od strzelca,
I pocznę insze życie... o dawno już pora!
Nie czekać aż się słońce schyli do wieczora.
Czas jeszcze wskrzesić w piersiach siłę obumarłą
Z której mię gwarne miasto niewdzięcznie odarło,

Czas niechaj spracowane odetchną ramiona,
Precz odemnie, ohydna masko histryona!

(*czyni gest jakby oddzierał i rzucał maskę*)

(*usiada na pniu drzewa zamyśla się i po pauzie mówi*)

Och pamiętam, pamiętam ten zapał młodzieńczy,
Kiedym wierzył że sława me skronie uwieńczy,
Garrik, Talma gdy byli moim ideałem,
Gdy na błękicie niebios ich imie widziałem
Wypisane gwiazdami—kiedym nieoględny
Chciał podlecieć aż do nich—jak meteor błędny
Czcząc jak bóstwo Szekspira albo Moliera,
Gdy czułem jak ich ogień me piersi pożera,
Jaki wtedy marzący, jaki byłem czysty!
Och! nieznacie młodzieńczych urojeń artysty.
Śmiało—mówiłem—śmiało pójdę po ich drodze!
Imie unieśmiertelnię i sercu dogodzę.

(*zamyśla się potem się śmieje ironicznie*)

Cha cha cha! i płacz i śmiech gdy się w tém rozpatrzę..
Doścignąłem wreszcie szczęścia, zostałem w teatrze,
Na głowę rozognioną wspaniałym obrazem
Jakby z trumny otwartej chłód zawionął razem.

Tu tłum drobnych zawiści, tłum poziomych celi,
Nikt młodzieńca niegarnie, nikt go nieośmieli,
Zamiast przyprawić skrzydła by latały chyżo,
Zciągną cię z nieba marzeń i ku ziemi zniżą.
Wreszcie—gdy dostatecznie duch był wyziębiony,
Ubrali w szmat purpury, w fałszywe galony
I wywiedli na deski napełnionéj sali,
I króla, czy tam zbójcę udawać kazali.

(*po pauzie*)

Cha cha cha!—chciałem każdą przejąć się osobą,
Bo tu już moich sędziów widziałem przed sobą
Publiczność!! wielkie słowo!—śmiały, będę śmiały,
Chociaż głos trząsł się w piersiach a kolana drżały,
Grałem... grałem bandytę... i byłem bandytą,
Oklasku mi niedano... wieńca nieuwito,
Odszedłem zapłakawszy... gdzież tu moja chwała?
Chciałem śmieszyć publiczność—lecz się nieroz-
śmiała.
Więc osądzili starsi, że ją głos poruszy,
Kazano dla niéj śpiewać—zatykano uszy.

Do méj zimnéj izdebki wróciwszy po scenie,
Gryzłem ziemię w rospaczy, ryczałem szalenie,

Lecz gdym zbolałą głowę złożył na pościeli,
Znowu mistrzowie sztuki przedemną stanęli.
I nieraz we śnie Talma prawicę mi poda.
„Trudno... trudno młodzieńcze, lecz wielka nagroda!”

(*usiada na pniu drzewa*)

Ha! nakoniec doszedłem nagrody i łaski,
Publiczność, raz i drugi, dała mi oklaski;
Byłem rad gdy me imie wołano z zapałem,
Alem się opamiętał i znów zapłakałem.
Miałem wiele oklasków!! przejdźmy je koleją:
Płaczą nad Rinaldinim, z Hamleta się śmieją:
Cyd ich nudzi że długi—Molier niebawi,
Fredra, naszego Fredra widzieć nieciekawi.
Nieraz rzekłem do siebie gdym otoczon blaskiem:
Wasz oklask jest szyderstwem, szyderstwo oklaskiem.
Kto dzisiaj widzi w sztuce powołanie Boże?
Czy dziś Garrik lub Talma urodzić się może?
Minęły wieki święte hołdujące sztuce...

(*zrywa się*)

Niechcę was—niechcę miasta! na zawsze je rzucę!

(*ogląda się w około siebie*)

Co inszego natura!! och to nie kulisa!
Jak ta wierzba płacząca do potoku zwisa!
Jak się wdzięczy ta brzozka pięknie choć po prostu,
Czuć od niej tchnienie wiosny, nie farbę pokostu,
Ten strumień, ten wiatr cichy co szumi po niwie,
To nie nasza orkiestra grająca fałszywie,
A to rannego słońca między liśćmi drzenie,
To nie lampy olejne co czadzą na scenie!
A ten kwiat!—tu mi wszystko uspokaja duszę,
Niechcę sceny i na krok już stąd niewyruszę,
Czas odpocząć po trudach — tu i chatka blisko,
W chacie biednego strzelca najmę przytulisko,
Pójdę z nim się rozmówić...

(*idzie do chaty i puka w okno*)

Czy gospodarz w chacie?

GŁOS DZIECINNY ZA SCENĄ.

Ojciec prędko powróci, może poczekacie,
Lecz do chaty niewolno wpuszczać mi nikogo,
Bo nasze złe brytany pokąsać was mogą,

W lesie bez psów niemożna—to stróże jedyne,
A ojciec pewnie wróci na siódmą godzinę.

Rościsław, (*patrząc na zegarek*)

Teraz jest w pół do szóstej... to poczekam sobie.

wychodzi na przód sceny.

A co tam teraz nasi?... teraz są na próbie,
Dzisiejsze przedstawienie dość ich namozoli,
Dam gardło że Otello nieumie swéj roli,
Bo dramat Szekspirowski, to nie bagatela,
Wróćcie, wróćcie te czasy gdym ja grał Otella!
Czarna maska na twarzy, zazdrość w każdym geście,
Młodociane dni moje? gdzie wy dziś jesteście?
Pamiętam żem się kochał... że pałało łono
Moją miłością pierwszą, miłością szaloną,
Zazdrośny jak Otello i mściwy w potrzebie,
Gdym przebił Derdemonę, przeszedłem sam siebie,
Teatr drżał od oklasków! a teraz co oni?
Pan bohater sztyletu nieutrzyma w dłoni;
Słaby, czy się ubieli, czy poczerni sadzą,
Idę do nich... bo rady bezemnie niedadzą.

(*słychać głos trąbki pasterskiéj*)

Wstrzymaj się zapaleńcze! oto wiejska niwa,
Głosem trąbki pasterskiéj nazad cię przyzywa,
A tyś po co do miasta?.. a czyż ci niepora,
Przestać żyć trupiém życiem z rana do wieczora,
Od nudy, śmiać się głośno a ziewać po cichu,
Lub wypijać bez smaku kielich po kielichu!!
Słuchać miejskiego gwaru co ci mózg przewraca,
Albo włożyć na nowo sukmanę pajaca!
Nie! zostań tu pod cieniem słomianéj zagrody,
Żyj czarnym kęsem chleba i konewką wody,
Zaprowadź pszczoły w u'ach, gołębnik na strzesie,

(*słychać z bardzo daleka szczekanie psów i trąbkę myśliwską*)

Lub weź strzelbę na plecy i zapoluj w lesie,
Lub idź z pługiem na rolę—praca cię ożywi,
Spraw zieloną sukmanę jak noszą myśliwi!

(*po chwili*)

Tak! zielona sukmana pamiętną zostanie,
Grałem niegdyś ***Freuschütza*** w zielonéj sukmanie,
Grałem w ***Huzarach*** Fredra, to wszystko nie fraszka,

W Doktorze medycyny grywałem wujaszka,
Te zielone sukmany—przypominam sobie,
Widzę je rozwieszone rzędem w garderobie,
Grzmiały liczne oklaski w krzesłach i w loży
O zielone sukmany któż je po mnie włoży,
Raczej wioski i lasu wyrzeknąć się wo ę,
Pójdę grać w tych sukmanach — bo to dobre role,

(opamiętywa się).

Wabi cię histryońska zielona sukmana,
Ha! wszakże i ta puszcza zielono ubrana!
Ostre zielone kolce na jodle lub sośn e,
Ale ten najostrzejszy co do serca wrośnie,
Chcesz westchnąć by wyrazić dolę czy niedolę,
To ci w serce ukąsi jakby żądło pszczole;
Ha! i z tym ostrym kolcem co mi pierś miał przeszyć,
Trzeba było na scenę iść i ludzi śmieszyć,
I nieraz igrać w piersiach ze śmiertelną raną,
I wykrzywiać do żartów twarz łzami zalaną,
Z czasem się przyuczyłem téj sztuki kuglarzy;
Nigdy łzy niepopsuły bielidła na twarzy,
A kiedy się uśmiecham—gdy wesołość kłamię,

Nieobmyły rumieńca kupionego w kramie.
W témże całe zadanie — w tém tryumf artysty,
Poświęcić dobru sztuki swoj ból osobisty,
Tak się idzie do chwały nieśmiertelnych celi,
A czyż wielcy mistrzowie jak my nieboleli?
Wielkość ludzka zależy na dźwiganiu krzyża,
Jednego boleść wznosi, drugiego poniża.

(*po pauzie*)

I ja krzyż mój dźwigałem—niech mnie teraz wznie-
sie,
Nie tam pomiędzy ludźmi, ale tutaj, w lesie,
Gdzie się jakaś zbawienna tajemnica chowa,
Gdzie z Bogiem i naturą łatwiejsza rozmowa,
Gdzie jak Szekspir powiada....

(*zamyślony usiada znowu na kłodzie*)

Tak Szekspir powiada,
To był wielki filozof, poeta nielada,
Ale wcielić się sobą w jaką jego postać,
Kolosalnym Otello lub Hamletem zostać,
Przeznać geniusz mistrza, by z potęgą całą
Oddać jego utwory!—to i życia mało!
A ja chciałbym w pół życia rzucić sztukę wzniosłą,

Więc cała moja przeszłość, to było rzemiosło,
Więc gdybym się innego pochwycił za młodu,
Dziś miałbym więcej szczęścia—i więcej dochodu??
O! nie—dajcie mi pieniądz—ja go wam odrzucę,
Niechcę szczęścia—jeżeli nieznajdę go w sztuce,
Jednej pragnę nagrody za mój zawod cały,
Skonać na deskach sceny, wśród oklasków chwały.

(*wstaje*)

Sława!.. co to jest sława... dym... bańka mydlana,
Dzisiaj głośna u świata jutro zapomniana,
Błahe cacko dla dzieci—a jednak rozżarza,
Bohatera do cnoty, do zbrodni zbrodniarza,
Dla niej, ażeby sławne zostały imiona,
Herostrat kościoł pali—Milcyades kona,
Napoljon traci hufce wśród śnieżnych zamieci,
A nędzny wierszokleta epopeję kleci;
Nawet skoczek na linie po wawrzyny sięga,
W sławie jest ludzka śmieszność i ludzka potęga.

Lecz jak mówi poeta—jest poczciwa sława,
Co nam skrzydła umacnia piersiom głos nadawa,
Co nas poto ognistym promieniem ogarnie,
Byśmy w drogach ludzkości stali za latarnie,

Nasz wiek,naszą społeczność mieli pod swą wodzą...
Lecz tacy sławni ludzie wiekami się rodzą,
Z promieni nad ich głowy nam choć po iskierce,
Godzi się dla nas żądać—tylko podłe serce,
Tylko dusza w poziomych uczuciach skarlała,
Takiéj dla siebie sławy nigdy niezechciała,
Ale czuję że we mnie Bóg inną wlał duszę,
Ja chcę poczciwéj sławy!—i sławnym być muszę!

(*uderza się ręką w czoło*)

Zapóźno... marzycielu zbyt zarozumiały!
Idź raczéj teraz płakać na grób twojéj chwały;
Na grób tego cóś kochał—a chcesz odżyć dzielniéj,
To chyba w ciemnym lesie—to chyba w pustelni...
Lecz czy niewrócił strzelec?—zapukam do chaty,

(*puka w okno*)

GŁOS DZIECKA (*za sceną*)

Niepukajcie daremnie, jeszcze niema taty,
Powróci aż pod wieczór.

ROŚCISŁAW.

Moje dobre dziecię,
Powiedź mi—na téj puszczy z czego wy żyjecie,
I czy wam tu wesoło?...

Głos dziecka.

Ojciec lasu strzeże,
Albo w rzece na rybę zastawia więcierze,
Więc mamy trochę grosza, mamy kawał chleba,
Jest mleko z naszych krówek—czegoż więcej trzeba?

Rościsław.

Poetyczna prostota! to dziecię nie kłamie,
Chciałbym widzieć tę chatkę w jakiej wiejskiej dramie,

(*Odchodzi naprzód sceny i rozpatruje do koła*).

W środku byłaby chata z tą drewnianą ławą,
A ten dąb bym umieścił w kulisie na prawo,
A ten ul ze pszczołkami!! efekt od parady!
Jużby nasz dekorator dał sobie z nim rady.
Rzuciłby tony zimne a potém gorętsze,
Możnaby z tego ***Okno*** dać na ***pierwszém piętrze,***
W drugim akcie pasieka—wyborny ul pszczoli,
Raz pamiętam... w téj sztuce nieumiałem roli,
Człowiek ciągle się miesza, ciągle bąki strzela,
A sufler jakby na złość upił się jak bela,
Nadstawiam pilnie ucha, mrugam nań ukosem,

A on ni w pięć ni w dziesięć cóś mruczy pod
nosem,
Położenie fatalne!—jak nieczęsto bywa,
Kiedy mi niespodzianie przyszła myśl szczęśliwa,
A w roli byłem Hrabią co niby w podróży,
Więc udaję znużenie, siła mi niesłuży,
A zresztą kołysany myślami sprzecznemi,
Zamiast usiąść na stołku — kładę się na ziemi,
I sextern z rąk suflera wyrwawszy otwarty,
Calutką moją rolę odczytałem z karty.
Gestykuluję silnie deklamuję żwawo,
Publiczność niespostrzegła i dała mi brawo,
I czy jedna przygoda!!—ja miałem ich tyle,
Miło czasem przypomnieć te pocieszne chwile.

(*uroczyście*).

O! to życie na scenie, to jak wieczne gody,
Życie czynne, braterskie a pełne swobody,
Życie ciągłej nauki niewieńczone chwałą,
Co nieda zdrzymać sercu by rozleniwiało,
Czyż ja dla spokojności to życie poświęcę?
Mam gnuśnieć w dzikim lesie opuściwszy ręce?
To byłaby niewdzięczność—niewdzięczność obrzydła.

Względem sztuki co wzięła pod swoje mię skrzydła,
Względem braci z któremi zjadłem beczkę soli,
I przeżyłem lat tyle doli i niedoli,
Względem mistrzów, com niegdyś przedstawiał ich
dzieła,
I względem publiczności co mi przyklasnęła!
Nie! nigdy! skonam raczéj.

(*chce śpiesznie odchodzić*)

(*waha się*)

Dobrze się zastanów,
A więc idziesz szaleńcze w ten tabor cyganów,
Co się nazwał świątynią—u któréj ołtarzy,
Już święty ogień sztuki dawno się nieżarzy;
Idziesz do towarzyszów co zimni nieczuli,
Nieraz cię intrygami i waśnią zatruli,
Idziesz do publiczności na jéj niewolnika,
Co cię dzisiaj przywoła, a jutro wysyka,
Co staremi przesądy napojona z wieka,
Przyklaśnie aktorowi, lecz wzgardzi w nim człeka,
Nie! nigdy skonam raczéj w tym odludnym borze.

Głos dziecinny z chaty.

Ojciec z miasta powrócił!

Rościsław (*słychać zdaleka bicie zegara*)

(*zrywa się*)

Siódma! czy być może!
I w teatrze już grają—nieznośni partacze!
Otella w pierwszym akcie już dziś niezobaczę,
Pośpieszmy!.. prędzéj... prędzéj może się dogoni,

(*zwraca się do chatki*)

Bądź zdrowa! tyś nie dla mnie lesista ustroni!
Na moje stanowisko jak żołnierz powrócę,
By służyć publiczności i hołdować sztuce.

ZWIERZYNA.

(*Obrazek z miasta*)

—Strzelcze! hej panie strzelcze! co chcesz za kwiczoła?
Na rynku małe chłopię tak na strzelca woła,
Dogania go z pośpiechem, a strzelec wąsaty,
Popatrzył na twarz chłopca, na odzieży szmaty,
I pomruknął niechętnie: „ha! piękna mi przedaż,
„Co ja chcę, to chcę, malcze, ty mi pewno niedasz,
„Dwa złote!.. nie dla ciebie, to zwierzyna droga".

—„Dwa złote! dobry strzelcze! bój się Pana Boga,

„Mam dwózłótkę to prawda, lecz mi reszty trzeba,
„Idę kupić dla braci mleczywa i chleba,
„I zanieść do apteki ten przepis doktora,
„Bo widzisz panie strzelcze, moja matka chora,
„Na dzień dwie łyżki strawy za pokarm jedyny,
„Pan doktor kazał warzyć rosół ze źwierzyny,
„Mój ojciec stary cieśla — a my niebogaci,
„Przedaj mi za złotówkę a Bóg ci dopłaci!

—„Jak żyję niesłyszałem rzekł strzelec wesoły,
„Aby pani cieślowa miała jeść kwiczoły,
„Na chorobę jest u mnie recept doskonały,
„Powiedź matce niech palnie kieliszek gorzały,
„Ja za złoty niestrzelam ptastwa dla biedaków,
„Nabój drożéj kosztuje, nielicząc już kłaków".

—Héj strzelcze! zbliż się tutaj! co chcesz za kwiczoła?
Tak z błyszczącéj kolaski jasny pan zawoła,
—„Pięć złotych jasny panie i groszy dwadzieście,
„Teraz strasznie źwierzyna podrożała w mieście
„A wyszukać, a zabić, wielką miałem pracę,
—Strzelcze! ja ci półtora ja ci dwa zapłacę,

„Oddaj mi!"..mówił chłopak bolejącą mową,
„Sam mówiłeś dwa złote!. a gdzież twoje słowo?
—„Czego chce ten ulicznik?" rzecze pan z kolaski›
—„Łaski! Wielmożny panie! proszę małej łaski,
„Pozwólcie mi u strzelca kupić tę zwierzynę,
‚To mojéj choréj matki lekarstwo jedyne,
„Doktor kazał!..
—Doprawdy! czy masz młynka w czubie,
‚Uważasz mój kochany! ja kwiczoły lubię,
„Teraz w jesieni tłuste, przewyborne jadło!
„I bardzo mię to cieszy że kupić wypadło,
„A wam na co kwiczoły? czy wy smak ich znacie?
„Oszczędność w waszym stanie, oszczędność mój bracie!
„Dla choréj matki klejek... niech doktora spyta,
„Można trochę posolić, to rzecz wyśmienita,
„Zdrowa i niekosztowna... wyzdrowieje stara."
To mówiąc, pan strzelcowi zapłacił talara.
Wziął kwiczoła i skinął swém pańskiém obliczem,
Dziecię w płacz—stangret spójrzał i smagnął je biczem,
Kolaska się po bruku potoczyła żywo,
A strzelec do gospody wyruszył na piwo,

A ubogie pacholę z dwózłotówką w dłoni,
Stoi jak skamieniałe i łzy ciche roni,
Ostąpili je wkoło uliczni krzykacze,
Patrzajcie jak on płacze... jak on śmiesznie płacze.

Cóś w tydzień... na mogiłki trzy trumny przynieśli:
W jednéj leży w łachmanach biedna żona cieśli,
W drugiéj wąsaty strzelec co w podpiłéj dobie,
Przypadkiem trącił w strzelbę i pierś strzaskał sobie,
W trzeciéj trumnie wspaniałą karawaną jedzie
Pan, co kostką kwiczoła zdławił się w obiedzie.

Nędzarzy zakopali do ziemi koleją,
Panu stroją katafalk i psalmy zań pieją,
A tam... w krainie duszy, Archanioł już woła,
Przed najwyższy trybunał sprawę o kwiczoła.

NIE JA ŚPIEWAM!

I.

Nie ja śpiewam, a duch Boży,
Który piosnkę we mnie tworzy,
Co z miłości swéj ogniska,
Promieniami w pierś mi tryska,
Od którego ciepła mięknę,
Chwytam w serce wszystko piękne,
Aż te czucia ręką Bożą,
Harmonijnie się ułożą,
I wydadzą dźwięczne gwary,
Niby struny u cytary,
I piersiowa moja deska
Niby harfa gra niebieska....

W pierś uderzam się ze skruchą,
Aż zabrzęczą struny głucho,
Coraz bardziej, bardziej głośno,
Aż te szmery w pieśń urosną.

II.

Nie ja śpiewam, a lud Boży,
Który piosnkę we mnie tworzy—
I przez serce nitką żywą
W bratnie wiąże mię ogniwo,
I udziela, duszy gwoli,
Czucia doli i niedoli;
Bratnie szczęście, jęk lub skarga,
Elektrycznie w pierś mi targa
I napełnia echem łono,
I rozbudza krew' uśpioną.

Kładę na pierś rękę brata,
Wnet mi tętno zakołata,
Wewnątrz tony się rozleją,
To miłością, to nadzieją,

Coraz bardziej, bardziej głośno,
Aż te szmery w pieśń urosną.

III.

Nie ja śpiewam, a świat Boży,
Który piosnkę we mnie tworzy—
Puls przyrody bije we mnie,
Jak pluchoce fala w Niemnie,
Jak w litewskim szumnym borze,
Gwarzą sosny w rozhoworze,
Jak wiatr kąpie moją głowę,
I kołysze chmury płowe....
Oko, ucho, myśli moje
Wrażeniami temi poję,
I na oścież pierś rozwinę,
I zapraszam je w gościnę.

One lecą, w pierś się kładną,
Harmonijnie, a bezładno,

Wszystko żyje, brzęczy, hula,
Jak gromada pszczół wśród ula,
Coraz bardziéj, bardziéj głośno,
Aż te szmery w pieśń urosną.

JESZCZE LIRNIK.

Deszcz, to wicher, to pogoda,
Już nastała jesień święta,
Rozpłakana, uśmiechnięta,
Jak do ślubu panna młoda;
To posępna, to wesoła,
Jako dumki mego czoła.

Pieśń dożynek naród śpiewa,
Echo płynie uroczyście,
Ponad pola, ponad drzewa,
Ponad krzewy żółtoliście,
Rzewna nóta gra dokoła
Jako dumki mego czoła.

I nastały ciemne noce—
Strach ogarnia tajemniczy,
W okna chatki wicher grzmoce,
A na dworze pies skowyczy,
Puhacz z mogił smutnie woła
Jako dumki mego czoła.

A jednakże — lirnikowi
Dziś swobodniej niżli wiosną:
Jego bracia żywi, zdrowi,
Jego piosnki grzmią rozgłośno,
Lecą z końca w koniec sioła,
Jako dumki mego czoła.

W takt skowronka i słowika,
Wcieniu leszczyn, wedle źródła,
Śpiewał wiosnę, która znika,
Śpiewał miłość, co zawiodła;
Krew' mu kipi, ledwie zdoła
Wysnuć dumki swego czoła.

Dziś, skąpany wełzach szczerze,
Zimniej snuje swe piosenki,

Spokojniejsze takty bierze
Pod jesiennych wichrów jęki,
A niezgadli ludzie zgoła
Zmiany w dumkach jego czoła.

Lecz on czuje ton swój zmienny,
Bicia serca bacznie słucha,
I przeraża go, kamienny
Martwy, spokój jego ducha:
„Wróćcie do mnie! wróćcie—woła—
„Wrzące dumki mego czoła!”

Zawiedziony od współbraci
Nie o siebie on boleje:
Lecz się lęka, że utraci
Miłość, Wiarę i Nadzieję;
W nich miał stróża, w nich anioła
Pięknych dumek swego czoła...

POCZĄTEK POEMATU.

p. t. SEJM LUBELSKI.

Dzwony zagrały po mieście, długiem szerokiém jęczeniem,
Błękit rannych niebiosów, huk uroczysty odbija,
Drży nad wieżami kościołów rozkołysane powietrze,
Że aż ptaszkom niebieskim cóś uroczyściej na sercu.
Mury odwieczne Lublina poweselały, spiękniały,
Jakby słońce włożyło na nie świąteczną oponę,
Dzień w chrześcijaństwie dziś wielki—Ciała pańskiego pamiątka,
Święto Chleba i Wina—Ducha co karmi i poi.

W Polsce przed wieki ochrzczonej, w Polsce rozumnej, bogatej,
Zygmunt August panował—a choć w Koronie i Litwie,
Pełno z Genewy i z Niemiec mistrzów, co poto przybyli,
Aby w starym kościele psować, przekształcać ład stary,

Przecięż niemała gromada dzierży się Piotra opoki,
Umie pacierz dawniejszy, umie uchylić kolano,
Umie pieśnią pobożną po staroświecku zanucić,
Upaść na twarz przed Bogiem co w Sakramencie ukryty,
Przeto, gdy dzwony jęknęły lud się wysypał jak mrowie,
Na ulice wytkane klonem i brzozką zieloną,
Tłum się jak fala przelewa z jednych kościołów do drugich,
Albo stoi na rynkach, czeka otwarcia obchodu,
Okna kwiatami ubrali, powywieszali proporce,
Słali drogie kobierce kędy Sakrament nieść będą,
Ubior narodu jaskrawy, świeci purpurą i złotem,
Twarze ludu wesołe—cichém pobożném weselem.

Dzwony umilkły na chwilę i znowu huczno zagrały,
Orszak procesionalny ruszył od farnéj świątyni:
Naprzód rycerstwo na koniach z hełmów wyzuwszy swe głowy,
Dzierżąc ręce u boków, na wpół dobywszy pałasza,
(Z wieków obyczaj był taki na znak że bronią swéj wiary),
U ich siodła, u boku krasny powiewa proporzec,
Gorą blaszane pancerze w pręgi złociste zdobione,
Złotem gore rynsztunek, złotem czapraki migocą,
Iskry się sypią z kamieni rumak gdy stuknie podkową,
Ziemia tętni i huczy jakby wulkanem wstrząśnięta.

Raźny był żołnierz Sarmacki—ale w téj ważnéj godzinie,
Zmienił postać junacką w postać Bożego rycerza,

Głosem przywykłym do wrzawy, szorstkim jak dusza bojowa,
Grzmiało Polskie rycerstwo pieśnią o chlebie żywota,
Prostą kruchcianą piosenkę, prostym żołnierskim sposobem,
Jeden huczy tak silnie, jakby w sto kotłów uderzył,
Drugi, jak cięka piszczałka, trzeci jak trąbka węgierska.
Jeden śpiewa z łacińska, drugi polskiemi wyrazy,
Straszny to rozgwar dla ucha z jękami dzwonów zmięszany,
Z twardym chrzęstem zbroicy, z końskich kopytów łoskotem.
Przecięż jest ucho w niebiosach, co te rozgwary zrozumie,
Czyta w sercu śpiewaka—tony fałszywe przebacza;
A z łez pobożnie wylanych tworząc dyament prawdziwy,
Kładzie łezkę—dyament w swą nieśmiertelną koronę.

Tu za rycerską chorągwią idą po parze, po czterech,
Sygnifery kościelne i rzemieślnicy cechowi.
Każdy chorągiew ma w ręku: widzisz na każdej chorągwi,
Obraz święty, lub skromne prac rzemieślniczych oznaki.
Tam wyszyta siekiera—godło ciesielskiej roboty,
Pancerz godło płatnerza—młot co kowala oznacza.

Z wiatrem szeleści chorągiew—jedna błękitna jak niebo,
Druga jak krew czerwona a trzecia czarna jak całun.
Długim się ciągną szeregiem te różnobarwne sztandary,
Jakby lasy ruchome z kwiatów olbrzymich wyrosłe.
Dalej orszaki zakonne z hymnem łacińskim na uściech,
W płaszczach czarnych i białych z obnażonemi głowami,

Starcy z brodami siwemi, młodzi z obliczem wychudłem,
Jednych oczy w niebiesiech, drugich spuszczone ku ziemi.
Dalej starszyzna kościoła, strojna w ornaty i togi,
W Krzyże, w złote łańcuchy, znaki godności prałata.
Dalej biskupi koronni, którzy na sejm tu przybyli,
Idą zwolna parami wedle starszeństwa kolei,
Z Wilna, z Krakowa, z Poznania, z Rusi halickiej, Kijowa,
Idą święci pasterze w jednym orszaku zebrani.
Pod baldachimem szkarłatnym tłumem kapłanów otoczon,
Starzec—prymas Koronny niosł Przenajświętszy sakrament.
Narod się ciśnie ciekawie aby oglądać oblicza,
Ludzi znanych w ojczyznie Paców, Karnkowskich,
. eden drugiemu wskazuje gdy się przez tłumy przeciśnie,
Protasewicza twarz bladą lub Hozyusza włos siwy.
Rzeczy krajowych świadomy polak szanował swe męże,
Dobrze umiał na pamięć wielkie ojczyste imiona.
Drżące starością i trudem ręce pasterza podparli,
Z jednej strony król Zygmunt z drugiej Krakowski Kasztelan.
Przeszły dni pięknej młodości w życiu Zygmunta Augusta,
Piękne jego oblicze cóś posmutniało, nadwiędło,
Trudy, cierpienia i myśli czoło pokryły zmarszczkami,
Ogień w oku błękitnem łza przygasiła żałośna,
W brodzie wspaniałej i długiej już siwy włosek przegląda,
Pańskie wzniosłe ramiona już się schylają i garbią,

Kiedy prymasa prawicę święty niosącą sakrament,
Dzierży w rękach synowskich—sam potrzebuje podpory.
Z oczu utkwionych w sakrament znaczno, że Polski Monarcha,
Wie skąd płynie pociecha, skąd się podpory spodziewać.
Silnéj mu trzeba podpory, bo rzecz przedsięwziął nielada.
Skończyć wieków rozterki, złączyć pokrewne dwa kraje,
Siła uprzedzeń przełamać, siła pokonać złéj woli,
Mądrém prawem określić spokój obojga narodów.
Jeszcze obadwa narody wspólnéj niebaczą korzyści,
W oczy sobie miotają dawno zebrane niechęci,
W jednéj chacie zrodzeni, jakby dwaj bracia niezgodni,
Marne prawo starszeństwa każdy dla siebie dowodzi.

Patrzaj na Panów idących za majestatem Monarszym,
Na te grona szlacheckie, kędy są ziemscy posłowie,
Jak się rozbiegli w dwie kupy zdala od siebie idące,
Których nawet niezłączy wspólność świętego obrzędu.
Dwoma długiemi szeregi—idą mężowie oddzielni,
Rzadko kiedy z gromady ktoś się do drugiéj przybliży,
Jedno—dwa słówka zamieni ze przyjacielem lub krewnym,
Co ma w tamtéj gromadzie—i znów do swoich powraca.
Tak z dwóch pagórków wypływając dwie rzeki,
Obok siebie do morza płyną z ponurym pluchotem,
Tylko niekiedy strumyczek z rzeki przebieży do rzeki,
Jeśli złączyć niemoże wód pokrewieństwo przypomni,

Płyną dwie rzeki—już częściej.... częściej strumieńmi spojone,
Aż się złączą piersiami, zleją się w jedno koryto,
Jedném korytem popłyną walczyć z jednemi skałami,
Jedną piersią pluchocąc, wpadną zarazem do morza.

Każdy czy rzeka, czy strumień mieni się barwą swéj wody,
Inszym wirem się kręci, inne ma takty w swym szumie.
Długo, ach długo dwie rzeki będą niesfornie swawolić,
Aż swą barwę i takty w sposób jednaki ułożą!
Każdy, czy narod, czy plemie inszy obyczaj ma z ojców,
Insze prawa dziejowe, serca odmienne pukanie,
Wiele, ach wiele potrzeba w zlaniu dwóch plemion osóbnych,
By się zrównał obyczaj, by się takt serca zespolił;
Wspólnie przebyte kamienie wirem połączą dwie rzeki,
Wspólna dola, niedola łączy dwa różne plemiona.

Jeszcze nieprzyszła dla Polski—jeszcze nieprzyszła dla Litwy,
Wielka chwila braterstwa—żaden prócz króla nieczuje,
Ilu kwiatami zakwitnie, ile owocow wyrodzi
Wielkie drzewo Sarmackie—jeśli z gałęzią wszczepioną,
Soki żywotne podzieli, zrośnie się w jedno i spoi,
Cieniem jednym okryje ziemi szerokie obszary,
Że uszlachetni owoce z soków obojga wyrosłe,
Drzewo będzie wytrwalsze, snadniéj się oprze wichrowi.

Ale powietrze wciąż huczy rozkołysane dzwonami,
Arcybiskup Gnieznieński niesie Najświętszy Sakrament,
Król go wiedzie pod rękę a po za królem w dwa rzędy,
Dwa Senaty przechodzą—Senat Litewski i Polski...

GNIEZNO.

(*Urywek.*)

Gniezno! gniazdo Lechitow! kiedy twoje wieże
Dalekiego pielgrzyma źrzenica dostrzeże,
Serce bije gwałtownie, głowa mu się mroczy,
I łza niespodziewana nabiega na oczy.
Gniezno, zkąd roj w Piastowskim wychowany ulu,
Osiadł na nowej barci przy matce, przy królu,
A potém się rozleciał szeroko, daleko,
Siadł nie nad jedną górą, nie nad jedną rzeką,
Ale gdziekolwiek zlepił plastr miodu i wosku,
Z Gniezna błogosławieństwa prosił po synowsku!
A chociaż rój swawolny czasem się rozhula,
Potém się opamięta i wybierze króla,

Póty za matkę barci, za pana go nieznа,
Póki jéj nieprzeżegna wielki bartnik z Gniezna.
Nasi Chrobrzy i Wielcy, nasi władcy starzy,
Brali swoją potęgę z Gnieznieńskich ołtarzy,
Wierząc, że gdy namaszczą Gnieznieńscy pasterze,
Korona więcéj blasku, miecz hartu nabierze.
Wy maściciele królow, Wy praw święci stróże.
Pozdrawiam wasze twarze wykute w marmurze,
Ze czcią czytam nagrobków staroświeckie głoski,
A kolano się zgina, kiedy wzrok synowski
Zdoła wyczytać imie otoczone chwałą,
Co się tęczowém pismem w dziejach wypisało.

I znów daléj i daléj błędne oczy wiodę,
Patrzę na drugą postać, na poważną brodę,
Chciałbym kamiennych źrenic znurtować głębinie,
Lecz, czy to marmur spotniał? czy łza z głazu płynie?
Czy łaskę przepowiada, czyli tchnie pokutą?
Jaką myśl na téj twarzy chciało zakuć dłóto?
Czy ten uśmiech niebieski co w oczy uderza,
Może dla nas Pan przysłał przez usta pasterza?
I czém jest ta prawica wykuta z kamienia?
Znakiem błogosławieństwa albo odrzucenia?

Trudno zgadnąć a nie masz spytać u nikogo,
A na sercu i rzewno i straszno i błogo...

Po filarach sklepistych, wśród kaplic ołtarzy,
Oko spocząć nie może a myśl dziwnie marzy,
To czarna, to promienna, to smutna, to słodka,
Jak z milszém lub smutniejszém wspomnieniem się spotka;
Gdy przypomni jutrzniane, albo chmurne dzieje,
Gdy się posąg rozjaśni, albo zpochmurnieje,

Co nam włożył na czoła święty chryzmat wiary,
Najpierwszy Pasterz Gniezna i nasz patron stary,
Wojciech, który nam przyniosł miłościwe lato,
Ma ołtarz wśród kościoła i trumnę bogatą.
To nasz pokrewny rodem, ojciec wedle ducha,
Pomodlcie się Słowianie! on prośby wysłucha,
On ją Bogarodzicy i Bogu przepowie,
W przedwiekowéj Słowiańskiéj staroświeckiéj mowie.
Słyszycie jak ojcowskiém słowem upomina:
Już nam grzechów się kajać i czas i godzina,
Kaj się! nad grzeszną duszą sam Bóg trzyma pieczę,

Głos usłyszy i myśli napełni człowiecze,
I spuści nam czas zbożny i skróci męczarnie,
I swe kmieci jak dzieci do siebie przygarnie,
I w niebie nieśmiertelnym miejsca nam udzieli,
Kędy królują święci, królują anieli.

Słowianie! pieśń Wojciecha znajoma niebiosom,
Przyświecała, jak gwiazda bohaterskim losom!
Gdy z piersi naszych hufcow buchnęły jéj tony,
Bóg uzbrajał te piersi w hart niezwyciężony.
Dziś choć z ludzkiéj pamięci zeszła nuta święta,
Chór niebieskich aniołów może ją pamięta,
I tymże samym tonem cześć Maryi czyni,
Co zabrzmiał po raz pierwszy w Gnieznieńskiéj
świątyni.

Z pieśnią w sercu, nadzieją i wiarą wzmocniony,
Od trumny Wojciechowéj patrzę w dalsze strony.
Nie wedle lat porządku, lecz gdzie oko zmierzy,
Rozpatruję grobowiec Gnieznieńskich pasterzy;
Czytam nie jeden napis szeroki a długi,
Co wylicza zmarłego lata i zasługi.

Och! nie zamącić prawdy dobranemi słowy,
Inszy rylec grobowca a inszy dziejowy,
Grobowiec wszystkich wieńczy nieśmiertelną chwałą,
Ale jednych za nadto a drugich za mało...

HYMN.

DO NAJŚWIĘTSZEJ PANNY

W OSTREJ—BRAMIE.

Maryo, Bogarodzico!
Matko cierpiących nędzarzy,
Co nad Jagiełłów stolicą,
W bramie stanęłaś na straży,
Spójrzyj na tłumy skruszone,
Co klęczą u stop téj bramy,
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.
Niebiosów wysokich Pani!
Spójrzyj na rodzaj człowieczy,

Oto na sercu znękani,
A któż ich boleść uleczy?
Tyś miała serce zranione,
I twój żal nie miał swéj tamy.
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Oto kalecy i chorzy,
Żebrają litości twojéj,
A któż im siły przymnoży?
A któż im rany zagoi?
W twéj łasce cudem natchnione,
Uzdrawiające balsamy.
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

W litości Twojéj matczynéj
Głodnych nakarmiasz z roskoszą:
Oto ubogie rodziny
O chleb powszedni Cię proszą,
Otworz im wsparcia skarbonę,
Błogosław pracy ich saméj.
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Oto grzesznicy skalani,
Co się rozstali z nadzieją,
Na święte oblicze Pani,
I oczu podnieść nie śmieją!
Rozpal ich serca zziębione,
Niech grzechu oczyszczą plamy,
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Kiedy nas klęska dotyka,
Wstaw się do Syna życzliwie,
Błogosław pracy rolnika,
Błogosław plonom na niwie,
Błogosław Litewską stronę,
Z wysokiej baszty Twej bramy,
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

ŚMIERĆ SŁOWIKA.

W drócianém więzieniu, gdzie kipi-gwar miasta,
Zamknięto słowika,
Chętka w nim śpiewania urasta, urasta,
Aż piersi przenika.

Och niemasz tu cienia w olszniaku, w leszczynie,
Co głowę osłoni,
Och niemasz i wtóru bo strumyk niepłynie,
Nie szumi po błoni.

Och niemasz tu lubéj, dla którejby warto,
Choć skonać wśród pieśni,
Niemożna wylecieć na przestrzeń otwartą,
Bo klatka lot cieśni.

Tu zamiast wietrzyka o bruk koła grzmocą,
Aż trzęsą się ściany,
Tu kurzem osypie jadący karocą,
Pan w złoto przybrany.

Tu zamiast strumyka — szum płynie jak woda,
I tętni i wrzeszczy,
Gdzie tutaj zacisze? gdzie tutaj swoboda,
By wydać głos wieszczy?

Aż chwieje się główka aż pęka mu łono,
Kurzawa aż dusi,
Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,
Ten śpiewać już musi.

Poczyna piosenkę, w tonach się rozpada,
Wygłasza swe żądze, —
Lecz śpiew mu zagłusza przechodniów gromada,
Co liczy pieniądze.

Lecz silne, strzeliste, śpiewanie słowicze
Przemagać poczyna,

Woz tętni po bruku: o ja go przekrzyczę,
Tak myśli ptaszyna.

I nótą wciąż wyżéj a wyżéj wystrzela,
Góruje głos młody:
Przypomniał swe chwile dawnego wesela,
Swéj dawnéj swobody.

Przypomniał swój gaik i lube wieczory,
Pod gęstą kaliną,
Przypomniał serdeczne, długie, rozhowory,
Ze swoją jedyną.

Jak budząc się ze snu przed jutrznią, przed słońcem,
W mgle rannéj lał trele,
I głosem królując nad ptastwa tysiącem,
Był zawsze na czele.

„Przekrzyczę, prześpiewam niesforne te gwary,
„Pomimo hałasu,
„Do wyższéj, do wyższéj uniosę się sfery“,
Tak myślał wieszcz lasu.

Lecz bardziej a bardziej łoskotów grzmią krocie.
Bruk miejski wciąż dudni,
A jakby naprzekor w ulicznej ciasnocie,
Wciąż ludniej a ludniej.

Ów, drugi przychodzień po drodze się wstrzyma,
I słucha pieśniarza,
Ptaszkowi pochwała aż piersi rozdyma,
Aż zapał rozżarza.

Niebaczny! twój tryumf opłacasz zbyt srogo,
Nad ciżbą brukową,
Zdobędziesz pochwałę; lecz płakać niemogą,
Zrenicą matową.

Słuchaczów, co płaczą łezkami roskoszy,
Potrzeba ci właśnie,
Tyś nieznał oklasków... bywało aż spłoszy,
Ktoć w dłonie zaklaśnie.

I ból wysilenia rwie piersi ptaszęce,
Skrzydełka omdlały,
On tego nieczuje, bo w swojej piosence,
Utopił się cały.

I w główce i we krwi tak kipi szał pieśni,
Aż echem drga klatka,
Tém śpiewa donośniej, im cierpi boleśniej,
Z sił swoich ostatka.

A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy,
Ci sobie... on sobie...
Aż pęknął od śpiewu gardziołek słowiczy,
W ostatniej swej próbie.

Napróżno ptaszyna w skrzydełka szeleszcze...
Chwieje się, posłania,
Gorące serduszko zadrgało mu jeszcze,
Lecz tętnem skonania.

I ten co piosenką górował nad knieją,
Tu zerwał swe siły,
A koła po bruku szyderczo się śmieją,
Że ptaszka zabiły.

MYŚL.

W braci, w przyjaciół tłumie,
Żyć tak błogo przyjemnie,
Lecz jeden nie rozumie,
A drugi szydzi ze mnie.
Uściska w samej rzeczy,
Lecz okiem wnet pokaże,
„Oto jest syn człowieczy,
„Tego chwytajcie straże."
A tak ci służąc wiernie,
Na urąganie wyda,
Świat cię ustroi w ciernie,
Jako Syna Dawida.
Zginie twoja swoboda,
W sądach, przesądach świata,

U Anasza, Heroda,
Poncyusza Piłata,
Jam doznał tych katuszy,
I chcę ufać najśmielej,
Że Pan Bóg mojej duszy,
Insze słońce udzieli.

Zwisły chmury na skroni,
Zwisły ręce bezwładne,
Zaschło pióro w mej dłoni,
Na spoczynek je kładnę.
Mówią bracia najszczersi,
Że i dusza już chłodna,
Że zdrój uczuć w mej piersi,
Wyczerpany aż do dna.
Że już wyschły łzy z oka,
O nie, bracia! krew czuła,
Tylko lodu powłoka,
Pierś pancerzem została,
W głębi skryłem roztropnie,
Miłość, wiarę, nadzieję,
A jak zamroz roztopnie,
A jak słonko przygrzeje,

Jak uczuję weselej,
Że nic piersi nieścieśnia,
Toż to z duszy wystrzeli,
Łza i dumka i pieśnia,
Myśl ku ziemi przybita!!
Wzniesie się razem z głową,
Jak po deszczu kłos żyta,
Odżywiony na nowo,
A tymczasem—Bóg zemną!
Z wiarą w mego Anioła,
Szukam słońca do koła....
Ale wszędy cóś ciemno,
Jeszczem przybrać się gotów,
W śmiech serdeczny, w śmiech złoty,
Lecz tu niemać przedmiotów,
Do niewinnej pustoty!
Rzecz do żartów gotowa,
Z głupstwa, zbrodni, lub grzechu,
Lecz od takiego śmiechu,
Niech mię Pan Bóg zachowa,
W urąganiu, w dowcipie,
Bluźnić światu otwarcie,
Takich żartów nie sypię,

Moje szczęście nie w żarcie.
Niech szyderstwo świat zgłuszy,
Niech się śmieją weseli,
Pan Bóg dla mojéj duszy,
Insze słońce udzieli.

Pióro, moja ty socho!
Twe pole wielkie, żyźne,
Czyż się zapiszesz płocho,
W tygodniową pańszczyznę.
O nie! nikt cię nie zmusza,
Stanąć w szereg rozumny,
Pod sztandarem arkusza,
Gazeciarskiéj kolumny,
Gdzie najmita z kolei,
Wychodzi strzelać baśnie.
Niezastrzeli idei,
Ale serce zadraśnie.
Czemuś nienapawała,
Pióra żółcią z posoką,
Dziś rozbita ich strzała,
Już nie wzleci wysoko.

Niech się łamie, niech kruszy,
Kiedy chmur nieprzestrzeli,
Pan Bóg dla mojéj duszy,
Insze słońce udzieli.

WIGILJA SIEROTY.

(*wiersz poświęcony pannie I. St...*)

Bracia, bądźmy gotowi,
Przyjąć łaskę w pokorze,
Anioł Pasterzom mówi,
Narodzenie dziś Boże,
Wielki czas się poczyna,
I na ziemi i w niebie,
Wita ludzka rodzina,
Zbawiciela wśród siebie,
Na chrześcijańskiej ziemi,
Wszyscy w rodzinnem kole,
Każdy chciałby ze swemi,
Uczcić Boże Pacholę,

I rodzice wśród dziatek,
I druhowie i krewni,
Łamią święty opłatek,
A łza oczy im rzewni.
Wszędzie gwarna wieczerza,
Radość zlała na czoło,
Z okien światło uderza,
Promienieje wesoło,
Tylko w jedném okienku,
Tęskny płomyk migota,
Głowę wsparłszy na ręku,
Płacze młoda sierota.
W obcéj stronie, wśród świata,
Co nie przyszedł z opieką,
Myślą ku tym ulata,
Co daleko.... daleko!...
W grobie wszyscy jéj mili,
W grobie dobra jéj matka,
Niemasz, niemasz w téj chwili,
Z kim podzielić opłatka,
Niema dla niéj na ziemi,
Z kim się pośmiać, weselić,
A tu z ludźmi cudzemi,

Niechce łzami się dzielić.
Oni pełni ochoty,
Każdy troskę osłodził,
Tylko dla niéj—sieroty,
Chrystus się nienarodził.

Matkę sercem i duszą,
Woła z ciemni grobowéj,
Święteż słowa być muszą,
Tajemniczéj rozmowy.
„Jam tu pastwą złych losów,
„Jam tu pastwą męczarni,
„Przyjdź tu matko z niebiosów,
„Popieść, ulżyj, przygarnij!"
Och sieroto! w téj ciszy,
Swięciéj niżli nam w tłumie,
Twoja matka cię słyszy,
Chrystus boleść rozumie,
On ma sierot na względzie.
Duchem zleci tu matka,
I stróż Anioł przybędzie,
Dla dzielenia opłatka,

Przyjmij z okiem wesołem,
Daj cześć jak im należy.
Z matką, z Stróżem Aniołem,
Siądź do skromnéj wieczerzy.

ZŁOTO, KADZIDŁO I MYRRA.

(*westchnienie.*)

I.

Gdy niedostatki nas gniotą,
Gdy zbytki zgubić nas mogą,
Chryste zrodzony ubogo,
Ty pobłogosław nam złoto!

Gdzie wieśniak ginie bez chleba,
Gdzie jęczą w łachmanach chorzy,
Tam złota wiele potrzeba,
Tam się niech złoto przysporzy!

Kiedy występku ohyda,
Ma złota ile zamarzy,
Królu! potomku Dawida!
Daj go na chleb dla nędzarzy.

Gdzie niemasz pola do pracy,
Gdzie wątłe siły żywota,
Błagamy jako żebracy,
Daj złota, Boże! daj złota!

II.

Kadzidło—to symbol chwały,
Należny tylko Jehowie,
A przecięż w człowieczéj głowie,
Dymy aromat rozlały.
Bogactwo, wziętość lub władza,
Piętno zatarły w nas boże,
A dym kadzidła przeszkadza,
Że człek być człekiem niemoże.
Złącz nas w braterskie ogniwo,
O Chryste! o Boże z nieba!
Daj nam zasługę prawdziwą,
Któréj kadzideł nietrzeba!

Gdy piekieł pycha obrzydła,
Z tobą się mierzy zuchwale;
Przeżegnaj garstkę kadzidła,
Niech służy ku Twojéj chwale.

III.

Myrra—to symbol cierpienia,
W niéj pobłogosław łzy nasze!
Gdy cierń nam serce opasze,
Niechaj się wiara niezmienia.
Niechaj nadzieja pokrzepi,
Niech Miłość wskrzesi nadzieję,
Że jutro będzie nam lepiéj,
Że się nam słońce zaśmieje.
Ośmiel nas—że mamy prawo,
Zaufać Tobie jak ojcu!
I Tyś w oliwnym ogrojcu,
Pocił się łzawo i krwawo.
Gdy cierpień wpiją się miecze,
Gdy pęka serce sieroce,
Chryste! zbolały człowiecze!
Błogosław myrry owoce!

KWIETNIOWY MOTYL.

Młody chłopaku porzuć swawole,
Kwietniowy motyl wyleciał w pole,
Radośna chwila;
Niepsuj radości twoją pustotą,
Niech mu na skrzydłach migoce złoto,
Niegoń motyla!

Niech sobie lata, niech sobie lata,
Przez kilka godzin użyje świata,
Co się przymila;
Skrzydełka płoną, oczki mu płoną,
Chcę się pocieszyć trawką zieloną,
Niegoń motyla!

Dla niego wieczność co d'a nas chwilka,
Chce w jednéj wiośnie mieć wiosen kilka,
Główkę pochyla,
I z każdéj trawki z każdego kwiatka,
Chciałby słodycze ssać do ostatka,
Niegoń motyla!

Marząc o różach pije cykutę,
Jemu nieszkodzą krople zatrute,
Niech je wychyla!
Dopóki wierzy w balsamowe kwiecie,
Jeżeli spłoszysz—grzech tobie dziecię,
Niegoń motyla!

Gdyby żył tyle co my żyjemy,
I gdyby wiedząc to, co my wiemy,
Ssał miod z badyla—
Niech niedoczeka przyszłéj jutrzenki,
Skradnij się dziecie, nieżałuj ręki,
Zabij motyla!

S O S N A.

Na wioskowych mogiłach,
Rosła sosna borowa.
Pień jéj krzepnął na siłach,
Wybujała jéj głowa.
Pogiętemi konary,
Na sto sążni rozwisa,
A korzeńmi bez miary,
Żółty piasek wysysa.
Z mogił wyrosłszy cała,
Za te soki co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała,
Za umarłych pacierze.

Aż cóś jednéj jesieni,
Biédna sosna borowa,
Coraz mniéj się zieleni,
I pożółkła jéj głowa.
I została na stronie,
Co dzień cichsza, milcząca,
Każdy wietrzyk, co wionie,
Więcéj kolców z niéj strąca;
Rzuca w ziemię rodzimą,
Zeschłe szyszki i ziarna...
W końcu—jeszcze przed zimą,
Zeschła sosna cmentarna.

Wiatr żałośnie ją pyta:
—„Biédna sosno z mogiły!
„Czyś ty gromem przebita?
„Czyć robaki stoczyły?
„Czy ci żeru niebyło,
„W żółtym piasku zpoblizka?
„Albo kamień swą bryłą,
„Twe korzenie naciska?"

—,,Och' mnie nietknął grom z burzą,
,,I robaki nietoczą;
,,Ziemia soków ma dużo,
,,I mnie karmi ochoczo.
,,Gdzie kamienie i głazy,
,,Szłam z korzeńmi zdaleka:
,,Wrosłam—gorzéj sto razy!
,,W trumnę złego człowieka!
,,Trumna zgniła na próchno,
,,Zgniły w piersiach mu błonki,
,,W serce trupa leciuchno
,,Zapuściłam korzonki.
,,Chłód mię przebiegł grobowy
,,Gdy possała zeń trocha:
,,Bo to człek był takowy,
,,Co nikogo niekocha!
,,Piérwsze z piersi swéj soki
,,Dał cmentarnéj choinie;
,,Czułam jak z téj opoki
,,Brzydki we mnie jad płynie.
,,Z jadem śmierci w mém łonie
,,Byłam smutna, milcząca...
,,Każdy wietrzyk, co wionie,

„Więcéj kolców mi strąca.
„Próżno w ziemię rodzimą
„Nowe rzucać chcę ziarna...
„Ziarna zeschły — przed zimą
„Ginie sosna cmentarna!”

CZULI A CNOTNI, BĄDŹMY OCHOTNI.

Seht wie die Tage sich sonnig verklären!
Blau ist der Himmel, und grünend das Lan d
Klag' ist ein Misston in Chore der Sphären,
Trägt auch die Schöpfung Trauergewand.
Salis.

Patrz jak się niebo rozjaśnia uroczo!
    Majem oddycha i trawka i świat,
Aż grzmi powietrze, aż ptaszki szczebioczą,—
    Niepora wdziewać całunowych szat!
Płyńcie mi w duszę radość i wesele:
    Tyle jest piękna — chwytajmy je w czas!
Cnota i radość — to mądrego cele,—
    Niechże nakoniec opromienią nas!

Otwórzcie dusze! wszędzie radość płuży —
Łówcie w powietrzu jéj piosenki strój,
Łówcie oddechem, bo jest w woni róży,—
Patrzcie, radością kołysze się zdrój!
Bierzcie ją w usta w soku winogrona,
W owocach jabłka i soczystych grusz,
Wszędy jest radość — niech wnijdzie do łona,
Czas aby chmury rozwiały się już!

Patrz w jasne oczy twojego anioła,
Radośném tętnem niech ci serce gra:
Miłość cnotliwa w niebo cię powoła,
Smutek uleci i pierzchnie jak mgła.
Uczujesz wtedy olbrzyma w twéj duszy,
Poznasz dostojny twojéj drogi szlak,
Poczujesz siłę, co głazy pokruszy,
Iskrę do walki — to zwycięztwa znak.

O bracia moi! zkąd te łzy niewieście
Szpecą jagody bohaterskich lic?
Niejużto życiem znużeni nareszcie
Nad miękką trumnę niewidzicie nic?
Ach! tyle wielkich i szlachetnych rzeczy,

Tyle zostało obowiązków znieść!
Niechaj sumienie nasz grób zabezpieczy,
A wtedy umrzeć — i sława i cześć.

Nieraz się troska, nieraz przyboleje,
I łza na oku i na sercu żal; —
Użyj dla serca balsamu nadziei,
Użyj cierpliwość jak pancerną stal.
A gdy mgła smutku twą głowę otoczy,
Wytężaj oko do niebieskich zórz!
I niebrnąc w ścieszkę występnych uboczy,
Dobrą otuchę w Opatrzności złóż.

Dajcie kielichy! niechaj wino tryśnie,
Pokrzepmy siły — i z losami w bój!
Aż póki ręka strudzona powiśnie,
Aż póki z czoła poleje się znój!
Słodkoż zaśniemy — sumienie zaświadczy,
Żeśmy spełnili, co należy z nas;
O! w tém świadectwie jest balsam zaradczy,
Co zgoi w piersiach najdotkliwszy raz.

Odważnie, bracia! choć duszę zraniono,
Choć wieniec cierni przygniata nam skroń.
Boleść potrzebna — bo orzeźwia łono
Jak ciepły wietrzyk obumarłą błoń.
Żniwiarze Pańscy! i śpiewajmy szczerze
I pracowicie związujmy nasz snop:
Pociecha duszy — któż ją nam odbierze?
Ona różami otoczy nasz grób.

STARY ZEGAR

DO WIANKA ST. JACHOWICZA.

Oto kunszt staroświecki majsterskiego dzieła;
Dłoń ludzka w małéj skrzynce bieg czasu zamknęła,
I dzwonek dała mu w rękę,
W małéj mosiężnéj skrzynce żyje myśl nielada;
Cóś porusza skazówkę, cóś szypi, cóś gada,
Cóś dzwoni jedną piosenkę.

Zegar! — ileż on zmierzył i minut i godzin!
Ile wydzwonił biesiad, śmierci i urodzin,
I różnych doli człowieka!
A w zimném jego sercu żelazna sprężyna
Nieubłaganym taktem ciągle przypomina,
Że życie ciągle ucieka.

Przemierzając skazówką — długich lat ogromy,
Na krótkie mgnienia oka, na czasu atomy,
Mruczy i zrzędzi, jak stary:
„Niegońcie za motylem, niepróżnujcie gnuśnie!
„Do roboty! do czynu! bo hańba kto uśnie,
„Kto swéj nie spełni ofiary!

„Długo stare zegary, odwieczni nudziarze,
„Nad głową waszych ojców biły w excytarze
„Budząc ich myśli i czyny.
„Brzęk puharów, gwar śmiechów tłumił ich gdéranie,
„Aż Pan kazał zegarom jęknąć niespodzianie,
„Aż pękły rdzawe sprężyny!"

Znów waga naciągnięta, skazówka popchnięta,
I szybko nowéj ery pobiegły momenta;
Ale zegary już inne:
Ciszéj biją sprężyny, ciszéj puls kołata,
Aby nieprzerwać dumań myślącego świata
Szanując drzémki dziecinne.

Co też mędrzec wyduma? Co też dziecko wyśni?
Jak garstkę swoich minut ludzkość ukorzystni?
Wielkie dziejów zadanie!
Świat ocknął się — zakipiał — jak wsiadł na sto koni,
Już jego szybkich pulsow zegar niedogoni,
Już nad nim gdérać przestanie.

Czas idzie żółwim krokiem, Postęp orlim lotem,
Poprzedzon świstem pary i machin łoskotem
Podniósł Tytańskie ramiona!
A pragnąc glob podźwignąć z jego starej osi,
Zaledwie zaczął walkę—już zwycięztwo głosi,
Że fałsz i ciemność pokona.

Boże! kiedy się puści w swe drogi sokole,
Niech niezapomni krzyża położyć na czole!
Nawiedź go myślą poradną!
Dopomóż jego śmiałéj, a poczciwéj chęci,
Niech mu się z wysokości głowa niezakręci,
Ani ramiona opadną!

Niechaj w górę wzniesiona drużyna skrzydłaczy
Zbożne, prawdziwe cele postępu zobaczy,—
Niech światu prawdę wyśledzi,
A potém bądź miłościw dla starych szermierzy,
Gdy stary zegar czasu, godzinę uderzy
Wielkiéj, dziejowéj spowiedzi!!

Zegar bije sekundę — to rodzi się dziecię —
Zegar bije sekundę — ktoś umarł na świecie,
Świat być w spoczynku nie może;—
Wciąż nowe pokolenia snują się po ziemi,
Z nowemi dążeniami, z myślami nowemi
Idą Twe dzieci, o Boże!

Trzeba mistrzów, co pilno badając puls młodzi,
Mówiliby „to godzi a to się nie godzi",
I strzegli starych cnót ziarna.
Wzbudź ich!! — a który spełnił swoje powołanie,
Wedle sprawiedliwości, błogosław mu, Panie!
Bo ich zasługa niemarna!

OSTROKRZEW.

(KWIAT PRZYJAŹNI)

(*w albumie kwiatów M. Fajansa*).

Kwiatku przyjaźni! dla czegoś wszystek,
Taki ciernisty, taki kolczaty?
Zbrojny cierniami każdy twój listek,
Krwawe jagody, krwawe masz kwiaty,
Bo ty wyrażasz ów związek wielki,
Ręka do ręki, łono do łona—
Bo cóż jest przyjaźń? bratnia obrona,
Aż do ostatniéj krwawéj kropelki.
Takiéj przyjaźni nic nie rozdzieli,
Czy zła, czy dobra nastanie doba,
Gdy nam wesoło, bądźmy weseli,
Gdy mamy cierpieć, to cierpmy oba.
A nas, potomków starych rycerzy,
Biada, gdzie taka iskra nie gore,
Biada, kto w taką przyjaźń nie wierzy,
Gdzie piersi w piersiach mają podporę.

PAJĘCZYNA.

Pająk jestem, pająk,
Snuję sobie nici,
Puszczam je w powietrze,
Każda gdzieś się chwyci.
    Śpiewak jestem, śpiewak,
    I piosenki snuję,
    Puszczam je po świecie,
    Każdą ktoś odczuje.
Nitka jedna, druga,
W poprzek, wzdłuż przeleci,
Tak sobie powoli,
Zasnuwywam sieci.
    Piosnka jedna, druga,
    Z wsi do wsi przeskoczy,
    Rozwiązuje serca,
    Porozwidnia oczy.

Jak z tysiąca nitek,
Tak z tysiąca pieśni,
Coraz lepsza siatka
Zawęźli się cieśniéj.
A pająk bezpieczen
Pod siatką swych nici,
I z wichrów żartuje,
I muszkę pochwyci.
Pod siatką piosenek,
My żywi i zdrowi,
I złego człowieka,
Ta siatka ułowi.

W IMIONIKU XIĘŻNEJ P.

JAKO DALSZY CIĄG JEJ WIERSZA. CO JEST OJCZYZNA.

A też krzyżyki i wiejskich cmentarzy,
Które na jesień mchem zielonym kwitną,
A też świątynie co wznosili starzy,
Pozapleśniałe pleśnią starożytną,
A łzy co święta obudza starzyzna,
Jakże to nazwać?.. to wszystko ojczyzna!

I kwiat borowy, i kość trupiéj głowy,
I kije starców, i zabawki dzieci,
I z czasów Szwedzkich skrwawione okowy,
Co znajdziesz w sklepie żelaznych rupieci,
Woda ze zdroju, stary miód z puhara,
I lutnia wieszczów i gruchot gołębi,

I xięga dziejów nieczytelna stara,
Dym co u dachów ściele się i kłębi,
Nawet sny nasze uroczyściéj śnione,
I kamień z bruku i zielone darnie,
I to co święte niewytłumaczone,
Co czasem duszę rzewnością ogarnie,
Ból tajemniczy i życie i zdrowie,
To wszystko, wszystko ojczyzną się zowie.

DO JANA CHĘCIŃSKIEGO AUTORA

„SZLACHECTWA DUSZY"

(przesyłając mu Album w imieniu Litwinów.)

Słowa braterskie słuchaj Mazurze!
Gdy się Litwina serce poruszy,
To i on czuje w swojéj naturze,
Szlachectwo duszy.
Nie to szlachectwo, co się nabywa,
Z pargaminowych starych arkuszy;
Tam gdzie czyn kwitnie, pot i krew płynie,
Szlachectwo duszy.
Choć wy nad Wisłą tam powiadacie,
Że mózg Litewski długo się suszy,
Bracia Litwini odgadli w bracie,
Szlachectwo duszy.

Każdy na świecie czyni co może,
My Cię kochamy w Litewskiej głuszy,
Skromny podarek przyjmij Autorze,
Szlachectwo duszy.

W IMIONNIKU

ARTEMIUSZA WERYHI DAREWSKIEGO.

Wzywasz mię w książkę twoich pamiątek,
Abym uczynił dobry początek.
Stawać na czele skromność się wzbrania,
Bom niestworzony do przodkowania.
Ale gdy taka braterska wola,
Ochoczém sercem dostoję pola,
Stanę na czele chociaż w oddali,
Tym którzy Ciebie tu pokochali.

Naprzód życzenie dobre położę,
Tej białéj książce błogosław Boże!
Niech na twych kartach zgarnie imiona,
Które promieni cześć zasłużona.

Każdy życzliwy wyraz téj karty,
Niech z głębi serca będzie wydarty.
Niechaj myśl każda co tutaj skryślą,
Będzie zbawienną i zacną myślą,
Byś w twoich chwilach doli niedoli,
Czy sercu błogo, czy serce boli,
Czy ćma zwątpienia lata nad głową,
Miał z téj skarbnicy pomoc duchową.

Daj Bóg! powtóre—niech twoja księga,
Białorusinów z Litwą posprzęga,
Niechaj u Dniepru, niechaj u Dźwiny,
Będzie pamiątką Twojéj gościny,
I z Litwinami tamtejszych braci,
Niechaj miłością zpowinowaci.
Niechaj jéj karty staną jak świadki,
Że jednéj matki jesteśmy dziatki,
Że przestrzeń nie jest dla Lachów tamą,
Że nasze serca biją tak samo.

Nakoniec życzę niech w twym albumie,
Nie pisze wierszy każdy kto umie:
Bo kara Boska mowa rymowa,

Gdzie pod końcówkę tak się myśl chowa,
Tak się najlepsze uczucie zatrze,
Że przez mikroskop go nie dopatrzę.
A jeśli czasem poeta który,
Ruchnie Pegazem z Parnaskiéj góry,
Puści na kartę końcowek roje,
Niech będą wiersze gładsze niż moje.

W I E R S Z

Czytany na nadzwyczajnem posiedzeniu Cesarsko-Królewskiego Towarzystwa Medycznego d: 27 Czerwca 1859 r. z powodu piędziesięcioletniego Doktoratu Medycyny Józefa Kowalewskiego.

Boże! w Twoich jest rękach i życie i zdrowie,
Tyś nam boleść i radość rozlał po połowie,
I wszechmądrym wyrokiem, co się nie odmienia,
Ukazałeś ludzkości potrzebę cierpienia;
Lecz obok, rodzicielska nad nami opieka,
Najczulszą troskliwością otoczyła człeka,
Tysiąc zbawczych pierwiastkow rozlała w przyrodzie,
W roślinach, na powietrzu, w kamieniach i wodzie,
A tchnąwszy na wybrańców duchem powołania,
Cząstkę swojej mądrości przed niemi odsłania,

I pozwala nauce zgłębiać twórcze siły,
By ulgę bolejącej ludzkości czyniły.
A gdy łoże boleści ludziom zaledz każe,
Troskliwe nad ich głową ustanawia straże.

Oto jeden z tych mężów Coś go wybrał Panie,
Coś go pobłogosławił na takie czuwanie,
Uzbrojony do walki ze śmiercią za młodu,
Dzisiaj spełnia pół wieka swojego zawodu.
A ta cześć współbraterska co Go dziś spotyka,
Poświadcza gorliwego w sprawie bojownika,
Że starł głowę wężową niejednéj chorobie,
Że się dobrze zasłużył ludzkości i Tobie.
Pobłogosław téj głowie wiekiem pochylonéj,
Pobłogosław nauce na dalsze jéj plony,
Wzór starcow zasłużonych, cześć co im należy,
Niechaj zacną pobudką będzie dla młodzieży,
By w badaniach przyrody szli daléj a daléj,
By szlachetną naukę i ludzkość kochali.

DO DEOTYMY.

Odpowiedź na Jéj traktat w imieniu Litwinów.

I góra z górą niekiedy się zbieży,
I rzeka z rzeką się spłynie,
Oto u Wisły dalekiéj wybrzeży
Lirnicy Litwy w gościnie.
Widzimy imion najpiękniejszych grona,
Co się w około nas cieśnią,
Wy nas witacie ze szczerego łona,
Chlebem i sercem i pieśnią.
Bóg-że wam zapłać, nad taką goscinę,
Niemasz rzewniejszéj na świecie,
Może nawzajem i w naszą krainę,
Kiedyś zawitać zechcecie.
Twardszą piosenkę, chleb mój czarniejszy,
Mniéj imion głośnych u świata,
Lecz w sercu zasób miłości najmniejszy,
Przyjmiem czém chata bogata.

DO MARYI NERUDA.

(W ALBUMIE.)

Przyszła do nas Słowianka, przyleciało ptaszę,
Zaszczebiotało rzewnie, wzięło serca nasze,
I odlatuje z Bogiem pod dalekie słońce,
Czarować innych ludzi, siać wzruszeń tysiące.
Leć z Bogiem na świat piękny ptaszyno natchniona!
A zabierz-że przynajmniej choć nasze imiona.
Niech ci od nas zostanie pamiątka choć mała,
Żeś była u Litwinów, na ich sercach grała.

DO WILMY NERUDA.

Kiedy nas wzrusza, aż do głębi łona,
Gra twego smyczka tak wdzięczna, tak silna,
Chlubo Słowianek, artystko natchniona,
Przyjmij pamiątkę od mieszkańców Wilna!
Cóż Ci dać możem za te miłe chwile,
Które miał w duszy każdy co Cię słucha,
Za wzruszeń tyle, za zachwytu tyle,
Za dreszcz, za łezkę, rozkosze ducha?
Długo będziemy pod wrażeniem błogiem,
Myśli ku Tobie posyłać zdaleka.
Zbrojna w twój talent, ze skrzypcą i Bogiem,
Jedziesz do krajów gdzie sława Cię czeka.
Gdziekolwiek będziesz—pomnij gród Litewski,
Bo tu zostawiasz grono przyjacieli—
Co błogosławiąc Twej drodze niebieskiéj—
Każdy twój tryumf serdecznie podzieli.

W ALBUMIE

PASTELISTY MALESZEWSKIEGO.

Pyłkiem tak lekkim jak puch brzoskwini,
Albo jak puszek skrzydeł motylka,
Kiedy twa ręka mój obraz czyni,
Kiedyśmy dzionków spędzili kilka,
Dobrze się wyrył w konturn wieczysty,
W sercu modelu—obraz artysty..
Cóż ci żegnając twój model doda?
Niech się w pamięci twojej zachowa,
To, coś malował: czoło, nos, broda,
Dłoń co Cię bratnio ścisnąć gotowa,
Szara kapota spięta pod szyję,
I.. proste serce co pod nią bije.

KONIEC.

DZIEŁA WŁADYSŁAWA SYROKOMLI

NAKŁADEM KSIĘGARNI

pod firmą:

RUBENA RAFAŁOWICZA

w Wilnie wydane.

	Rs.	K.
SYROKOMLA W. Córa Piastów, powieść wierszem, z dziejów litewskich z Muzyką Stanisława Moniuszki, in 8-vo. Wilno, 1855.	—	90
— Dni doroczne na Litwie, szereg obrazków: Dni pokuty i zmartwychwstania	—	60
— Garść pszenna i Cieśla, dwie gawędy ludowe, wydanie drugie in 16-o. Wilno, 1857 . .	—	20
— Gawęd rymów ulotnych i przekładów Poczet 4-ty, in 16-o. Wilno, 1856.	1	—
— Hrabia na Wątorach, krotochwila wierszem, z XVI wieku in 12-o. Wilno, 1856 . . .	1	—
— Kasper Karliński, drammat historyczny w 3-ch aktach, wierszem, in 12 o. Wilno, 1858. .	1	20
— Królewscy Lutniści, obrazek z przeszłości, z ryciną Wojciecha Gersona, in 8-vo, Wilno, 1857.	—	75
— Margier, poemat z dziejów Litwy, in 8-vo. Lipsk, 1855.	1	80
Ditto, na najpiękniejszym glansowanym welinie	2	25
— Franciszek z Assisu, kantata illustrowana przez E. Androillego	—	60
— Szkolne czasy. Nowe opowiadanie Jana Dęboroga, in 12-o, Wilno, 1859.	1	—